

powali za nim. Pokój ten był sypialnią małżonków Lorain. Gruba powłoka kurzu pokrywała sprzęty i meble, ale nigdzie nie dostrzeżono odcisków palców lub stóp. Do tego pokoju zbrodniarz wejść nie mógł. Szafy i szuflady biurka zamknięte nie były. Kiedy prokurator wysunął jedną ze szuflad, uderzył go widok pudełka, pełnego złotych monet, obok którego leżała w porządku większa ilość banknotów, losów i papierów wartościowych. W drugiej zaś, mniejszej szufladzie, złożone były kosztowności pani Lorain. Poza to w komodach i szafach, pełnych ubrań, panował wzorowy porządek.

Nie wiedząc, co myśleć o tem wszystkiem, prokurator, coraz bardziej zdenerwowany i rozgorączkowany, powrócił do jadalni i zapytał doktora:

— Czy uważa pan, iż zachodzi potrzeba sekcjonowania zwłok?

— Nie sądzę. Moje przewidywania byłyby potwierdzone. Ażeby zaś wypełnić raport, który złożę, muszę zabrać szklankę z zawartym w niej płynem i zrobić rozbiór chemiczny.

— A więc nie mamy już tu na razie nic więcej do czynienia — zdecydował pan Dupont. — Dwóch żandarmów i pasterz pozostaną na folwarku aż do chwili pogrzebania zwłok. My zaś wracamy, panowie, i zajmijmy się wyśledzeniem mordercy, o ile to będzie możliwem.

Zaraz nazajutrz śledztwo zorganizowane zostało. Przy pomocy najrzęczniejszych detektywów z Paryża przeszczągnięto całą okolicę, badano mieszkańców, czuwano nad hotelami i dworcami kolejowymi. Trud ten okazał się bezowocny. Wobec niemożności wpadnięcia choćby na ślad mordercy, prokuratora musiała się uznać za bezsilną.

Wkońcu pan Dupont, zniecierpliwiony i niepokojny, zniewolony był posłużyć się środkiem, używanym często w podobnych wypadkach przez policję. Odłożył na czas jakiś dalsze poszukiwania, mniemając, że zaniedbanie to wzbudzi w mordercy nadzieję bezkarności i że wówczas zdradzi się sam w jakikolwiek sposób.

Upłynęło kilka miesięcy, nie przynosząc nic nowego. Optymistyczne przypuszczenia prokuratora nie wywołały żadnego rezultatu.

Jednakże przy końcu piątego miesiąca, kiedy już naprawdę myślano o porzuceniu tej tajemniczej sprawy, wypadek, bardziej jeszcze dramatyczny, i niezwykle, obudził nagle wspomnienie mordu, dokonanego w górach Argonii, przedstawiając prokuratorowi państwowej nową zagadkę do rozwiązania.

Terenem nowej zbrodni nie były już dzikie i niedostępne lasy ardeńskie, ale miejscowość, znajdująca się na samem południu Francji, o kilka kilometrów od Marsylii.

## II.

Corocznie, na początku września, w niedzielę, odbywa się w Marsylii wielki jarmark, po którym wieczorem następują zabawy różne i rozrywki. Dzień ten sprowadza do miasta znaczną liczbę mieszkańców okolicznych.

Na przedmieściu Marsylii, w pewnej odległości, znajduje się osada mała, Saint-Nicolas, łącząca się z miastem szeregiem wieśniaczych domów i will. Otóż, niedzieli tej, wszystkie mieszkania były prawie opustoszałe z ludności. Właściciele, kupcy, wieśniacy, udali się do Marsylii, przylączyć się do ogólnej zabawy.

Między nielicznymi mieszkańcami, którzy zostali w osadzie, znajdował się pan Valentin, właściciel wielkiego składu drzewa, który wolał dotrzymać towarzystwa swojej młodej żonie, cierpiącej cokolwiek w dniu tym.

Pan Valentin miał lat trzydzieści pięć, a żona jego najwyżej dwadzieścia cztery. Połączeni byli od dwóch lat, tworząc szczęśliwe i dobre stado, którego pogody nie zaciemniła dotąd żadna chmurka.

Jeszcze w sobotę wieczorem pan Valentin zwolnił kierownika składu i dwóch urzędników, mieszkających w tym samym domu. Cały zaś dzień następny młode małżeństwo spędziło na werandzie słonecznej, zabawiając się rozmową i czytaniem.

Kiedy noc nadeszła i sen powoli ogarniał ich zaczął, powrócili do mieszkania, udając się do sypialnego pokoju. W godzinę później cisza zupełna objęła dom cały. Co zaszło wówczas, w jaki sposób nastąpiło to straszne nieszczeście, którego ofiarą padł pan Valentin z żoną, tego nikt dokładnie dowiedzieć się nie mógł.

Zabawa w Marsylii przeciągnęła się aż do północy. Nikt jeszcze nie zamierzał opuszczać jej, by powrócić do domu. Powietrze ciepłe i czyste, niebo rozgwieżdżone, pogodne, zachęcało wszystkich do dalszych przechadzek i rozrywek. Jednakże około północy punkt ciemny ukazał się na horyzoncie. Rozciągał się powoli w jedną wielką ciemną plamę i zajął wkrótce południową część nieba. Wszyscy zapytywali się, co by to być mogło. Lekki wieńczyk wiał od wschodu, nie zaciemniał najlżejszą chmurą. Jakież więc mógł być powód, że niebo, dotąd tak czyste i pogodne, zaciemniło się tak nagle?

Nagle snop iskier i płomieni, wzbijających się wysoko jak rakiety, rozświetlił tę zagadkową ciemną chmurę. I równocześnie zewsząd rozległy się wyleknione okrzyki:

— Pożar! Pożar! Pali się na przedmieściu!

Wszczął się hałas i zamęt nie do opisania. Cały ten tłum, przed chwilą rozbawiony i wesoły, rozbiegł się w popłochu na wszystkie strony, popychając się, tłocząc, chcąc rozpoznać gorączkowo prawdziwe miejsce wypadku. Ale nikt nie mógł tego dokładnie określić i przypuszczenia różne biegły z ust do ust. Wkrótce całe miasto zaalarmowane zostało. Straż pożarna nadjeżdżała w szalonym tempie, kierując się w stronę wzrastającej łuny ognistej.

Wszystkie zabawy w mgnieniu oka ustały. Ulice, niedawno jeszcze rojące się od rozbawionych tłumów, puste teraz były i milczące. Gdzieś niedługo rozlegały się rozpaczliwe okrzyki:

— Pali się! Pali się w Saint-Nicolas!

Zza miasta dobiegały ponure dźwięki dzwonów kościelnych, wzywających ludność na ratunek, mieszając się z ostrym głosem trąbek strażackich, a po drogach z pośród ciemności wylaniały się głowy w błyszczących hełmach. Ludzie ci trzymali w rękach zapalone pochodnie, torując sobie przejście w tłumie oszalałym z przerażenia.

Kiedy pierwsza pomoc nadbiegła do osady, wówczas dopiero obecni mogli sobie zdać sprawę z wydarzenia. Pożar wybuchł w zabudowaniach, należących do pana Valentin. Płomienie objęły już skład cały, a z domu mieszkalnego buchały kłęby ognistego, gęstego dymu, uniemożliwiając dostęp.

— Co się stało z panem Valentin i jego żoną? — krzyknął ktoś w tłumie. — Czyżby zostali w płonącym domu?

Rzucono się na wszystkie strony w gorączkowem poszukiwaniu, nawoływano donośnie, ale żaden głos lub jęk nie odpowiedział. — Przypuszczano więc ogólnie, że nieszczęśliwi ludzie, zaskoczeni w czasie snu strasznym tym wypadkiem, nie zdołali już uciec i zginęli w płomieniach.

Jednakże akcja ratunkowa rozwijała się energicznie. Straż pożarna czyniła nadludzkie wysiłki. Skoncentrowany dopływ wody z kilku sikawek zlokalizował wkońcu szerzący się pożar. Ze spalonego do połowy domu wydobywał się już teraz tylko dym czarny i gryzący, lecz belki i rusztowania były tak zniszczone, że dom cały groził zawaleniem. Po przedsięwzięciu pewnych środków ostrożności, kilka strażaków i wieśniaków sąsiednich wtargnęło do zagrożonego mieszkania. W części ocalonego od płomieni domu znaleziono pana Valentin i jego żonę, leżących bez życia w łózkach. Cóż więc ich śmierć spowodować mogło? Pokój sypialny nie był wcale naruszony, a na ciałach nie odkryto żadnych śladów poparzenia, lub zaduszenia. Rysy zmarłych zachowały spokój zupełny. Zdawało się, że ludzie ci zasnęli spokojnie, nie zdając sobie sprawy z grożącego im niebezpieczeństwa, aby się obudzić już w objęciach śmierci. Wszyscy obecni spoglądali po sobie ze zdumieniem, niektórzy przejęci jakimś zabobonnym strachem. Ta śmierć pogodna, pośród domu, objętego pożarem, wydawała im się nienaturalną i tajemniczą.

Tajemnicę tę wyjaśnił wkrótce lekarz, zawiezany bezzwłocznie. Kiedy podszedł do łóżka, na którym spoczywały zwłoki pani Valentin, wszyscy skierowali w tę stronę spojrzenia niepokojne i wyczekujące. Lekarz badał zwłoki przez czas jakiś w milczeniu. Na twarzy jego wkrótce wystąpił wyraz jakiegoś wahania, czy niepewności. Ujął rękę pani Valentin, badając tętno, uniósł powieki, obejrzał usta i nagle wyprostował się z dziwnym błyskiem w oczach.

— Co panu jest? — zapytał komisarz policji, który znajdował się obok niego.

— To dziwne! — szepnął doktor.

— Co takiego?

— Niech pan spojrz na szyję... ten znak czarny... zaledwie dostrzegalny...

— Rzeczywiście!

— Tu leży tajemnica tej nagłej śmierci...

— Ale cóż to jest? Co to ma znaczyć? Niechże mnie pan objaśni, doktorze!

Doktor odechnął głęboko.

— Co to ma znaczyć, panie komisarzu? — odparł poważnym głosem — Że pożar, który zniszczył ten dom, jest drugorzędem tylko zjawiskiem. Stała się tu zbrodnia straszniejsza jeszcze. Ci biedni ludzie zostali zamordowani.

— Czy pan jest tego pewny?

— Niech pan patrzy. Na szyi pana Valentina można zaobserwować ten sam znaczek czarny. Pochodzi on od zaklucia, przez które wprowadzono do ciała narkotyk, silnie działający. Wysskok rośliny trującej „stramonium datura“. Nakłucie zaś to zostało uczynione cienkim lancetem, o trójkątnym ostrzu. Jak powiedziałem już, wywołanie pożaru było tylko środkiem do zafarcia tych morderczych śladów. Morderca, wychodząc stąd, zabezpieczył się tylko przed możliwością odkrycia swojego czynu.

Słowa doktora wywołały silne wrażenie na obecnych. Sąsiedzi, przejęci grozą i zdumieniem, przy pomocy kilku żandarmów przetrząsnęli dokładnie gruz walący się już części domu, jak i również składu drzewa i innych zabudowań. Dostrzeżono z łatwością, że ogień został podłożony w kilku miejscach równocześnie, a w sieni domu, nie zniszczonego przez płomienie, podrzucano materiały palne, pakuły, naftą oblane i pudełko zapalek.

Przypuszczenia lekarza sprawdzały się więc. Zbrodniarz podpalił dom, wychodząc, aby zatrzeć wszelkie ślady za sobą. Policja była w wielkim kłopotcie. I znowu, tak, jak przed kilkoma miesiącami w lasach ardeńskich, przedstawiał się problem tajemniczy, trudny do rozwiązania. Czyżby wymordowanie rodziny Lorain, a obecnie pana Valentin i jego żony było dziełem jednej i tej samej ręki?

Przypuszczenie to wydawało się wszystkim monstrualne i nieprawdopodobne, a jednak pomiędzy temi dwoma zbrodniami przedstawiały się analogie pewne i skonstatowane. Obydwie zostały dokonane w okolicznościach, sprzyjających mordercy. Osamotnienie ofiar i uniemożliwienie ratunku, jednakowe narzędzie zbrodni, użyte z dołączeniem tej samej trucizny... Rzecz zakrawała już na czarodziejską bajkę...

Ostatnią sprawą zajęła się prokuratura w Marsylii, z całą gorliwością i zręcznością, również bez żadnego rezultatu.

Co do tożsamości mordercy, zdania były rozdzielone. Ale ostatnie śledztwo, zorganizowane w Saint-Nicolas, odkryło koło spalonego domu odciski wąskich, małych stóp i wysokich nadmiernie obcasów. Odciski te były zupełnie identyczne ze śladami, zebranymi na folwarku Piotra Lorain. Nie było żadnych wątpliwości. Morderca, który działał na tych obydwu terenach, był jedną i tą samą osobą! Ale co za zbrodnica namiętność, czy cel, kierował ręką tego tajemniczego człowieka?

Policja napowrót zajęła się sprawą i komisyja śledcza z panem Richard, szefem policji na czele, zjechała raz jeszcze do Saint-Nicolas, czyniąc drobne i cierpliwe poszukiwania. — W Marsylii i okolicy równocześnie operowało kilkunastu najzdolniejszych agentów i detektywów. Ale tak samo, jak i w górach ardeńskich, nie odnaleziono żadnego śladu.

Pewnego dnia jednakże szef policji, bez żadnego wyjaśnienia, opuścił nagle Marsylię i przybył do Paryża, nie wspomniawszy o tej niespodziewanej podróży żadnemu ze swoich agentów. Pan Richard, czyniąc to, kierował się przyczyną, której zwierzyć nie chciał nikomu, a która pociągnąć miała za sobą ważne bardzo rezultaty.

## III.

Szef policji przybył do Paryża rano o wczesnej godzinie i natychmiast posłał po znanego mu z dawnych czasów agenta Buvard, który był jego ulubieńcem i którego używał do pomocy w trudniejszych sprawach kryminalnych. W pół godziny później Buvard wchodził do pokoju szefa policji w hotelu „Europa“.

(Ciąg dalszy nastąpi).